

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI
MITY I ZGRZYTY

Polemiki, recenzje, wspomnienia

Wybrał i przedmową opatrzył Jan Gondowicz
Ilustracje w wyborze Barbary Winklowej



Paraliż postępowy a my

Niedawno ogłosiłem felieton, potrącając od niechcenia, z własnych wspomnień, pewne sprawy pedagogiczne. Felieton ten obudził zainteresowanie wśród nauczycielstwa. Spomiędzy listów, które otrzymałem, pozwolę sobie przytoczyć dwa najbardziej znamienne – jeden od nauczyciela, drugi od nauczycielki:

Drogi Panie Boyu!

Artykuł Pański *O wyzyskaniu dóbr naturalnych* zastanowił mnie podwójnie: jako pedagoga i jako klasyka. I dlatego nie mogę się powstrzymać, by nie wygadać się choćby w liście prywatnym.

Tak jest, dawna szkoła miała wielu dziwaków. Gdyby każdy z nas chciał opowiadać o swoich profesorach, nigdy byśmy nie skończyli. Ale chcę tutaj podkreślić – o czym Pan zapewne nie wie – że dzisiejsza szkoła stoi o całe niebo wyżej od dawniejszej. Proszę sobie wyobrazić łagodne rządy ludzi pozbawionych w istocie (choć nieoficjalnie) wszelkich sankcji karnych. Mam na myśli szkołę średnią prywatną. Co może zrobić nauczyciel, jeżeli uczeń coś zbroi? Literalnie nic (powiedzmy to sobie na ucho, aby ani kuratorium, ani uczeń o tym się nie dowiedzieli) – szkoda pozycji finansowej w dzienniku, tj. szkoda skreślić ucznia... I ot, pedagog musi tak postępować, aby jednak ten żmudny rząd dusz utrzymać. Z praktyki mogę pana zapewnić, że się to dzisiaj robi zwykłą łagodnością i prostotą współżycia. Autorytet nauczyciela dzisiaj całkiem inaczej wygląda: *tumor paedagogicus* zanikł prawie zupełnie, każdy na ogół uczeń szczerze zwraca się do swego nauczyciela.

Ale czemu jednak panowie profesorowie dziwaczej? Nie wszyscy, wiem, ale znaczny odsetek. Otóż tu ja, jako młody dość pedagog, będący trochę literatem, specjalnie robię obserwacje. I konstatuję, że zmiany ku gorszemu w charakterze nauczyciela należy przypisać temu, że żaden zawód wyzwolony nie wymaga takiej pracy fizycznej i takiego jednocześnie napięcia nerwów, i tak stałej przytomności umysłu, jak właśnie zawód nauczycielski. Adwokatem spokojnie obmyśla swoje sprawy lub przemawia w sądzie od czasu do czasu, lekarz leczy spokojnie (inaczej źle leczy!), nauczyciel natomiast przez 6 godzin dziennie ustawicznie musi dźwżyć rząd dusz (yczek), trudnych i nieskorych do ujarznienia. Tak jest, nie wolno mu się mylić, zawsze musi mieć rację – jeżeli nie, jest kiepskim nauczycielem. I oto cuda metody: nauczyciel *d o p r a w d y* ma zawsze rację – w szkole; jedynie w życiu nie potrafi sobie dać rady, bo tam racji mieć nie trzeba, jeno spryt.

Kiedy się pomyśli, że w takim napięciu nerwów i sił nauczyciel musi pracować 35 lat (u nas) do emerytury, otrzymując nędzne wynagrodzenie (400 zł), to zdumienie i litość nas ogarnia. Po 15 latach ofiarnej pracy dobry pedagog stracił już połowę swojej wartości fizycznej, a tu jeszcze się wymaga odeń wysiłków i poświęcenia. Czy dziw, że najhartowniejsza dusza właśnie wtedy dziwaczeje?

Chciałbym, aby Pan zwrócił na to uwagę.

Druga sprawa – wyzyskanie „dóbr naturalnych”. Pański klasyk być może był zboczeńcem i dlatego dobrze uczył. Mogę Pana po cichu zapewnić, że szczególnie w żeńskiej szkole nie obywa się co najmniej bez freudyzmu. Uczę łaciny w gimnazjach żeńskich, nigdy nie jest tak cicho w klasie, jak gdy czytam na głos zmysłowo rytmiczne wiersze liryczne. Czuję wtedy, że nie jest to wyłączny wpływ poezji, ale trochę i mój – właśnie w sensie freudyzmu.

Powiedziałbym wręcz: nauczyciel, który stracił wpływ swoich „dóbr naturalnych”, powinien przestać być nauczycielem. Ale okłamał was wasz filolog, że Cyntie i Hostie nie figurowały w ory-



*O pojedynku Boy – Rodziewiczówna na posiedzeniu
jury Warszawskiej Nagrody Literackiej*

ginałach. Jako klasyk mogę zapewnić Pana, że *musa paidike** zajmuje dużo miejsca w poezji starożytnej, nawet u Platona (Boże, jak będę się z czytaniem jego dialogów w żeńskiej szkole, chcąc dać coś więcej niż program, a „demoralizować” tylko w miarę!), ale Cyntie i Hostie też istniały. I te rzeczy można śmiało czytać w szkole.

Z szacunkiem dla odwagi mędrca

*Dr St. L.**

Drugi list był następujący:

Szanowny Panie!

W rzeczy *O wyczyszczeniu dóbr naturalnych* poruszył Pan sprawę dotychczas wstydliwie przemilczaną. Przytoczone przykłady mają charakter łagodny. Z dzieciństwa swego i z dwudziestoletniej obserwacji rozmaitych szkół i internatów męskich i żeńskich znam, niestety, fakty jaskrawsze, tu i ówdzie zakończone katastrofą. Żaden lekarz szkolny zadaniu temu nie podoła, bo nie może być w jednej osobie higienistą, pediatrą, psychologiem, psychiatrą, neurologiem, seksuologiem i psychoanalitykiem. Przy tym spędza on w szkole ograniczoną liczbę godzin, przeważnie zamknięty w gabinecie lekarskim, pozbawiony bezpośredniego kontaktu z nauczycielstwem i młodzieżą w najważniejszych momentach ich współżycia. Homoseksualizm i paraliż postępowy występują w szkole obok wielu innych chorób i zbroczeń. Najprzeróżniejsze dziwactwa heteroseksualne, pedofilie, fetyszyzm, demencja, megalomania zwracają na siebie uwagę nieraz nawet najmłodszych dzieci i wywołują niezdrową sensację wśród dorastającej młodzieży, a jednak bywają tolerowane czy też pozostają niezauważone przez kolegów i kierownictwo.

Wniosek: każdy kandydat na lekarza szkolnego, nauczyciela, wychowawcę, kierownika winien otrzymać niezbędne wiadomości z psychiatrii, psychopatologii, seksuologii i psychoanalizy, aby

mógł należycie zrozumieć wszystkie zjawiska życia szkolnego, aby w razie potrzeby skierować chorego kolegę, nauczyciela czy ucznia do lekarza specjalisty, który albo unieszkodliwi pacjenta przez umieszczenie go na dłuższy czas w odpowiednim sanatorium lub dzięki doraźnej kuracji osiągnie *Sublimierung* pozwalającą mu, aby wrócił do szkoły i wyzyskał owo utajone „dobro naturalne” dla jej pożytku.

W prawdziwym uznaniu dla odwagi i talentu pisarza-publi-cysty

Nauczycielką

Oto autentyczne głosy, świadczące, jak światłe i inteligentne nauczycielstwo odniosło się do mojego felietonu; jakże to odbija od naszych klerykalno-brukowych pisemek, które wmawiają w głupców, ni mniej, ni więcej, że ja zalecam (!) nauczycielom pederastię, mnie samego lokują w sanatorium dla zbrońców i nie oszczędzają mi ani jednej obelgi. Poziom intelektualny tych pism jest taki, że trudno od nich wymagać czegoś innego, toteż stanowią one od dawna moją ulubioną lekturę humorystyczną.

Dziwi mnie natomiast bardzo stanowisko, jakie zajął jeden z pedagogów, p. Leon Płoszewski, umieszczając w „Przeglądzie Pedagogicznym” artykuł pt. *O odrobinę szacunku dla pracy ludzkiej**. Pan Płoszewski posuwa się tak daleko, że „piętnuje” mój felieton jako „społecznie szkodliwy, a dla nauczycielstwa obraźliwy”.

Porozmawiajmy trochę spokojnie. Obrażliwy? Jak dla kogo. Z listów, które cytuję, nie widać ani trochę, aby nauczycielstwo czuło się nim obrażone. Nie można uogólniać. Między nauczycielstwem są różne elementy; są ludzie, którzy chcą myśleć, i są tacy, którzy chcą rozdzierać szaty, biadać, gromić i celebrować. Ja pisałem dla pierwszych.

Mówiłem zresztą z własnych wspomnień o szkole galicyjskiej sprzed lat z górą trzydziestu, a ta chyba nie ma tak wiele wspólnego z dzisiejszą szkołą polską, aby się za nią obrażać. A jeżeli poru-

szam doniosłe i poważne kwestie tonem żartu, to już był czas do tego się przyzwyczaić, nie pierwszy to raz ludzi gorszą, a zwykle potem przyznają mi słuszność. I jakby dla oświecenia tej kwestii, równocześnie z pojawieniem się fałszywie patetycznego artykułu p. Płoszewskiego wybucha sprawa zakładu w Studzieńcu, która dość chyba jaskrawo oświeca to, co ja poruszyłem, mianowicie: jakie mogą być skutki zbrodni i chorób tych, którzy mają powierzony wychowanie młodzieży, i jak niedostatecznie zwraca się uwagę na te możliwości.

Jakże w świetle tej sensacyjnej sprawy wyglądają wywody p. Płoszewskiego? Doprawdy często argumenty, które się przeciw mnie wytacza uroczyście, mniej mają wagi niż te, którymi ja posługuję się żartem. Oto z powodu moich uwag na temat paraliżu postępowego, który może drażnić niedostrzeżenie organizm przez parę lat, zanim jawnie wybuchnie, pisze p. Płoszewski:

„Ogólne wnioski autora z faktu, że miał wśród swych nauczycieli jednego «paralytyka postępowego», nie są chyba traktowane poważnie, bo równie dobrze można by na podstawie popadnięcia w szal poety X czy literata Y żądać «badania przynajmniej co pół roku reakcji żrenicowej literatów»”.

Bardzo wdzięczny jestem memu przeciwnikowi za tę enuncjację, bo okazuje ona jasno lekkomyślność jego ataku. Trudno w istocie o gorzej dobrany przykład. Poeta, literat! Czym grozi społeczeństwu to, że literat nadeśle, dajmy na to, do „Skamandra” wiersz pisany w początkach paraliżu postępowego? Albo mu redaktor wiersza nie wydrukuję, albo też chory poeta stworzy jakąś nową szkołę literacką, jakich neodadaistów czy coś podobnego, wiersz jego może być zresztą bardzo interesujący, w każdym razie nie grozi to nikomu szkodą. A przenieśmy ten sam wypadek na takiego dyrektora zakładu w Studzieńcu: niech się przypadkowo pokaże, że on od dłuższego czasu cierpi na paraliż postępowy lub inną umysłową chorobę, która sprawiła, że był katem i demoralizatorem powierzonych mu dzieci? Czy i wówczas p. Płoszewski

powie, że to zupełnie to samo? Moi drodzy ludzie, zastanawiajcie się trochę, zanim zechcecie chwycić Boya-mędrca na głupstwie lub szkodliwości. Pamiętajcie, że i kolega mój Sokrates skazany był na śmierć za szkodliwe nauki i psucie młodzieży.

Pan Płoszewski woła o „odrobinę szacunku dla ciężkiej pracy ludzkiej” – mój Boże, do kogo to mówić; ja sam tyle pracuję, że gdzieżbym nie miał szacunku dla pracy ludzkiej! Ale właśnie dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę p. Płoszewskiego, że pisanie książek i artykułów to jest m o j a p r a c a, jeżeli więc p. Płoszewski – na podstawie takich argumentów jak powyższy! – tę pracę „piętnuje” (wielkie słowo!), mógłbym i ja, gdybym miał skłonność do frazesów, wykrzyknąć patetycznie: „Żądam odrobiny szacunku dla mojej pracy, dla pracy ludzkiej!”.

A teraz mówmy o czymś przyjemniejszym, choćby o paraliżu postępowym.

Nie potrzeba być mędrcom, aby zrozumieć, że doniosłość i niebezpieczeństwo społeczne tej choroby najściślej są zależne od stanowiska, jakie chory zajmuje. Opowiem w dalszym ciągu, jak raz postawiłem diagnozę paraliżu postępowego u krytyka teatralnego – okazało się, że trafnie. No i cóż, nikt z tego szkody nie poniósł, co najwyżej publiczność przeczytała parę oryginalnych recenzji, zanim krytyka posłano na bezterminowy urlop. Otóż wyobraźmy sobie, że ten krytyk, zamiast być krytykiem, jest (nie chcę powiedzieć pedagogiem, skoro to p. Płoszewskiego tak obraża), ale starostą, wojewodą, nawet – strach pomyśleć – ministrem, ambasadorem. Każdy zrozumie, jak nieobliczalne mogą tu być następstwa. Wiecznie wisząca możliwość paraliżu postępowego u ludzi na wybitnych stanowiskach toż to jedno z najgroźniejszych zagadnień ludzkości. Gubernator Bośni generał Potiorek* tuż po wybuchu wielkiej wojny uległ objawom paraliżu postępowego, i w Austrii bardzo żywo komentowano fakt, że stan jego i prowokacyjne zachowanie się wobec ludności mogło wpłynąć na katastrofę sarajewską, a tym samym na wybuch wojny światowej. Jeden

paralitik! Był w Przemysłu sławny generał Galgotzy, srogi i bezwzględny przełożony, ale wyborczy generał, cieszący się nieograniczonym zaufaniem cesarza i budzący postrach we wszystkich. Ten dostał paraliżu postępowego, ale nie od razu oczywiście poznano się na tym, któryż zresztą z podwładnych ośmieliłby się postawić tę diagnozę, tak uwłaczającą subordynacji wojskowej! Generał ów od jakiegoś czasu zdradzał upodobanie do „badań naukowych”, badał mianowicie ciężar gatunkowy żołnierzy rozmaitych broni; w tym celu kazał ich brać pod pachy na sznur i zanurzać nago w wodzie „normalnej”, tzn. o temperaturze czterech stopni Celsjusza. Póki badał ciężar gatunkowy prostych żołnierzy, szło to wcale dobrze, ale gdy chciał przejść do analogicznych badań ciężaru gatunkowego oficerów, porozumiano się z lekarzami i wzięto go do zakładu, gdzie stwierdzono daleko posunięty paraliż postępowy. Gdyby Galgotzy był nie generałem, ale poetą, rozszerzyłby co najwyżej sferę asonansów. Koresponduje obecnie ze mną dwóch literatów mających zdecydowanego fioła – i cóż stąd?

Paraliż postępowy – to choroba mająca swój demonizm przez swoje bardzo nieznaczne początki, przez swój kapryśny przebieg i objawy. Z upodobaniem rzuca się na ludzi intensywnie pracujących mózgiem. Miałem przyjaciela – jedna z najświetniejszych inteligencji – wspominanego nieraz Ludwika J.*; patrzałem u niego ze smutkiem na postępy tej choroby. Zrazu nieznaczny, ledwie dostrzegalny odcień, coś, co mogło uderzyć jedynie bardzo bliskich znajomych i jedynie w porównaniu z tym, do czego się przywykło u tego człowieka. Miesiące upływają, nim się to mgliste odczucie skrytalizuje w podejrzenie, nieśmiało dzieli się je z kimś drugim, obserwuje się, śledzi, wciąż żyjąc z przyjacielem na dawnej stopie. Bardzo tragiczny to proces to mimowolne szpiegowanie, ta obserwacja, której pozytywny wynik jest wyrokiem śmierci poprzedzonej ruiną umysłową. Kiedyśmy doszli do utrwalenia podejrzeń, zaprowadziliśmy pod jakimś pretekstem biednego Ludwika do wspólnego przyjaciela, wyborczego psychiatry Adama Rydla

(brata poety, Lucjana). Ten rozpoznał już bez wątpliwości paraliż postępowy i wysłał Ludwika J. pod pozorem kuracji nerwowej do słynnego zakładu pod Wiedniem, w Steinhofie. Po jakimś czasie dr Rydel otrzymał od dyrektora zakładu pismo – uprzejme, ale wyrażające zdziwienie, że przysłano mu tego chorego z taką diagnozą: pacjent (pisał) jest to inteligencja tak świetna, że o ile prawdziwą przyjemność sprawiło lekarzom obcowanie z nim i rozmowa, o tyle nie czują się w prawie przetrzymywać go w zakładzie, nie stwierdziwszy żadnych objawów rzeczonej choroby. Jakoż wypuszczono go na wolność. W kilka dni potem przywieziono Ludwika J. do tegoż Steinhofu, ale już w kaftanie bezpieczeństwa; wypuszczony, pojechał nie wiadomo czemu do Fiume, tam pokłócił się z policjantem, dostał napadu szału, ubrano go w kaftan. Inteligencja jego zatem, już w fazie paraliżu postępowego, wystarczyła jeszcze, aby olśnić lekarzy ze Steinhofu; jedynie ci, co go znali blisko, zdolni byli ocenić zmiany i różnice. Co więcej, siedząc już w zakładzie z niewątpliwą diagnozą, człowiek ten zaczął intensywnie pracować; on, całe życie improduktyw twórczy, jął się gorączkowo pisać. Przełożył tam m.in. na niemiecki książkę Witkiewicza o Matejce tak świetnie, że widziałem list Witkiewicza niemający dość słów entuzjazmu dla tej pracy.

Taki oto jest zdradziecki i kręty bieg tej straszliwej choroby.

Wspomniałem wypadek, w którym postawiłem pierwszą diagnozę u krytyka teatralnego „Czasu”, Konrada R.*. Było to podczas wojny. Pochłonięty służbą wojskową i swymi pracami, nie widziałem Konrada R. czas dłuższy. Pewnego dnia czytam w „Czasie” recenzję teatralną, zdaje mi się, z *Pana Brotonneau* Caillaveta i Flersa. Przeczytawszy, telefonuję do redaktora Rudolfa Starzewskiego. „Czy ty czytałeś dzisiejszą recenzję?” – pytam. (Starzewski, w przeciwieństwie do dzisiejszego redaktora „Czasu”* , który wolałby się narazić na dziesięć karnych procesów niż przeczytać jakiś skrypt, czytał przed oddaniem do druku każdą literę). „Przyznam ci się, że wyjątkowo nie, miałem taki nawał po-

lityki...” (Było to w pełnej wojnie, gdy sprawy literackie w ogóle były na ostatnim planie). „No, to przeczytaj. Zdaje się, że będzie to samo co z Ludwikiem”. Przczytał i natychmiast udzielił krytykowi urlopu „dla poratowania zdrowia”. W pół roku później dostawiono Konrada do szpitala, też w kaftanie bezpieczeństwa. Otóż recenzja jego nie zawierała dla pobieżnego czytelnika nic nadzwyczajnego. Charakterystyczne i zabawne było, że zachowywała ona najzupełniej styl „Czasu” – była i powaga, i erudycja, i pewne namaszczenie, tylko zastosowane tak, jakby ktoś uderzył w fałszywy klawisz. Zaczynało się: „W miesiącu... roku... (dokładna data) komedia Caillaveta i Flersa dostąpiła tego zaszczytu, że ją wydrukowano w dodatku do paryskiej «Illustration», na którego łamach, jak wiadomo, pojawiają się jedynie dzieła o nieprzemijającej wartości...”. Kończyła się zaś ta recenzja uderzeniem w żalobny dzwon z powodu świeżej śmierci Caillaveta, w tonie takim, jakby umarł co najmniej sam Stanisław Tarnowski. To mi wystarczyło do nieomyłnej diagnozy, którą później potwierdzili lekarze. Ale nie każde pismo ma tak zdecydowaną fizjognomię jak „Czas”... Zresztą każdy przyzna, że to było mniej groźne, niż gdyby ten człowiek miał w ręku los paruset dzieciaków.

Ale nie za to spadły na mnie najcięższe gromy. Raczej za drugą część felietonu, gdzie mówię o znaczeniu mniej lub więcej utajonych elementów erotycznych w pedagogii. Mówiłem o tym w sposób sobie właściwy; zgorszyć i oburzyć mogłem chyba tych, którzy nie mają poczucia żartu, paradoksu, lub tych, którzy celowo chcą przekręcać i źle rozumieć. Pisałem z własnych refleksji i wspomnień, nie troszcząc się zupełnie o literaturę dotyczącą tego przedmiotu, mimo iż nie wątpiłem, że ta literatura – i to bardzo obszerna – z pewnością istnieje. I oto to samo klerykalne piśmiennictwo, które na podstawie mego felietonu lży mnie i wysłało do sanatorium dla zboczeńców, w drugim artykule „polemicznym” stwierdza, że cała ta moja mądrość jest – o zgrozo! – kradziona i że wielce poważni uczeni niemieccy wyrażali w tej mierze... bar-

dzo podobne opinie. Bardzo przepraszam – albo jedno, albo drugie; albo sanatorium za zboczenie, albo kryminał za kradzież; ale oba naraz, to za wiele! Doprawdy warto przytoczyć ten artykuł, bo ma on znaczenie ostrzegawcze, ukazuje otchłań istic saskiej ciemnoty, w jakiej chciałyby pewne sfery pogrążyć i trzymać naszą umysłowość. Tytuł: *Kradziona mądrość Boya-mędrca**.

„Boy, zalecający «sublimowaną» pederastię jako pożyteczny motyw dla wychowawców, ukazał się tym razem w nowej roli – pedagoga... Warto zauważyć, że ta jego mądrość pedagogiczna nie może nawet mieć pretensji do oryginalności – to mądrość kradziona, a mianowicie od Niemców. Taki np. nad miarę wysławiany w pewnych, pod wpływem niemieckich pozostających kołach Edward Spranger, «neoidealista», w swojej *Psychologii młodzieży* wcale wyraźnie daje do poznania, że dobrze jest, kiedy «Eros» – nb. «sublimowany»!... – kieruje nauczycielem w stosunku do ucznia... Inny Szwab, niejaki H. Blüher, daje całą teorię perwersji, a nawet w rozprawie pt. *Wanderbewegung¹ als erotische Erscheinung* takie właśnie «istotne» tendencje insynuuje (słusznie czy nie, niech o to Niemcy się spierają!) tak silnie rozwiniętemu ruchowi turystycznemu młodzieży niemieckiej. Objawy patologiczne, same w sobie smutne, zdarzają się wszędzie, ale tylko Niemcy są na tyle dowcipni, by dorabiać do święństwa teorię i zalecać ją światu jako wartość cywilizacyjną! Pan Boy-Żeleński, który jako tłumacz z literatury francuskiej przyswoił naszemu piśmiennictwu wiele arcydzieł, ale niemało rzeczy, bez których od biedy byłoby się obeszło, teraz bierze się do przyswajania nam mętów niemieckiej mądrości, od dawna zdemoralizowanej przez heglowsko-panteistyczny kult dla faktu: wszystko, co jest, ma swoją rację bytu, ergo... jest wartościowe!... Od takich mętów «filozoficznych» trzeba bronić naszą umysłowość, nasz gust, nasze zdrowe instynkty...

Dotychczas u nas «najsztelniejszym twórcy idealnego pedagoga» były uczucia ojcowskie, przyjacielskie, patriotyczne,

¹ Chyba *Wandervogelbewegung*?

religijne, idealizm moralny – i te jakoś naszemu prostactwu całkowicie wystarczały!...”

W ten sposób rozprawiają się te sfery z „mądrością Szwabów” – typowy odzew naszego „zagłobizmu”. Nie zdaje mi się, aby koleje Polski wykazały, że nam się tak dobrze działo z naszym „prostactwem”, iżby je tak tryumfalnie nad „szwabskie wymysły” gloryfikować. Oczywiście teraz to samo pisemko rzuciło się skwapliwie na artykuł p. Płoszewskiego; przedrukowuje go z radością, „piętnując” za jego przykładem nieszczęsnego Boya-mędrca. W ten sposób „Przegląd Pedagogiczny”, który z przeznaczenia swego ma służyć światłu i w którym powinny by się znaleźć takie listy nauczycielstwa, jakie przytoczyłem poprzednio, lub też wszelka inna, ale doręczna wymiana zdań, stanął na jednym poziomie z najciemniejszą ciemnotą i dostarcza jej argumentów... Cóż za nieporozumienie!

Ale mędrzec i to przeczek. Ma czas.

Dokumenty

Znają wszyscy powieść *Fermenty* Reymonta. Pamiętacie tam urzędnika kolejowego na małej stacyjce, który jest zarazem zawiadowcą i kasjerem, własnym swoim zwierzchnikiem i podwładnym. Dostaje z czasem fijoła na punkcie podwójności swych funkcji; sam ze sobą koresponduje, żąda wyjaśnień, udziela sobie nagany etc. Coś podobnego grozi po trosze każdemu człowiekowi, który ma podwójne agendy. Tak np. ja: jestem autorem i krytykiem. Dawniej nie zazębiało się to o siebie; jako krytyk zajmowałem się teatrem albo daleką Francją. Ale od jakiegoś czasu ogarnęła mnie rozpusta przeszłości, perwersja dokumentu; raz po raz wyciągam jakieś szpargały, wpatruję się w stare fotografie. Otóż czuję, że z tą chwilą ta kumulacja charakterów staje się niebezpieczna. Boy-krytyk i badacz zaczyna ciekawie zerkać na skrytkę, gdzie znajdują się rozmaite dokumenty dotyczące Boya-autora i co gorsza, człowieka. Czasem zdarzy mu się, kiedy wyjdę z domu, wracać po cichu, zakradać się do pokoju i chodzić na palcach koło tego kantorka, od którego wiem, gdzie Boy chowa kluczyk. To już groźne, prawda?

Czasem zaglądam: czy jako ja, czy jako ten drugi? Czegoś mi potrzeba, czegoś szukam, więc niby to jako ja; ale czuję, że tamtemu drugiemu aż oczy się świecą przy każdym świstku, który biorę w rękę. Ja jestem zdrow i pełen wigoru, a ten drugi, kanalia, już myśli „pośmiertnie”. Patrzy łakomie na jakieś wierszyki pisane do prywatnych osób, czasem w celach erotycznych, nigdy niewydane, i kombinuje sobie, co by to był za sensacyjny artykuł do „Wiadomości Literackich”. To znów jakiś drobiazg okolicznościowy, wy-

magający komentarza: wszyscy będą się biedzić, a on wie co, jak, czemu! I kiedy to stanie się pośmiertne, czyli aktualne, jego nie będzie, żeby to wypłać: to się wściec można! A taki na przykład brulion wierszyka, wpisane do albumu nieletniej bratanicy:

Jeden o herbach swych plecie,
 Drugi bogactwem się puszy,
 Lecz wierzej, nie ma na świecie
 Nic ponad pogodę duszy.

Niechaj los wszystko ci zburzy,
 Uczciwość, cnotę i mienie,
 Bylebyś z życia podróży
 Wyniosła czyste sumienie!

Czy to włączyć do dzieł zbiorowych Boya, czy nie? Ileż tu pasjonujących zagadnień dla krytyka!

I w czasie takiej eskapady w przeszłość – mogę powiedzieć cudzą – znalazłem dokument, ot, zdawałoby się nic: rękopis starego wierszyka, idiotycznego zresztą, który znacie ze *Słówek: Ludmiła*. Boy-badacz pieści go miłośnicie, obraca w rękach: co to? z drugiej strony rękopisu niemiecki formularz recepty kolejowej! I znów przemiana osobowości: znika uczony erudyta i już ja sam, wpatrzony w ten dokument, biegnę pamięcią wstecz. Śnieg jest jak dzisiaj, ja stoję obok palacza na starej, trzęsącej lokomotywie, co chwila otwiera się czeluść, z której bucha czerwony żar. Ileż chwil życia tak spędziłem!

Nominację na lekarza kolejowego otrzymałem w tym samym roku, w którym wydałem pierwszy tom piosenek i wierszyków. Lekkością tą przypieczętowałem na zawsze moją karierę niedoszłego docenta chorób dzieci; trzeba się było obejrzeć za czym innym. I co mi tam zaszkodziło, tutaj mi pomogło; posadę moją dostałem dzięki protekcji amatora moich piosenek i wier-



Boy jako Molier. Na *Tartuffe'a* z „*Kuriera Warszawskiego*”

szyków, który był sekretarzem prezydiąlnym przy ministrze kolei w Wiedniu. Obecnie handluje w odrodzonej Polsce spirytusem.

Nie chcę wymawiać memu dobroczyńcy, kochanemu Poldkowi S., ale posada była straszna. Była to tak zwana „sztreka”, czyli „przestrzeń”, od Krakowa do Podłęża*. Poza ranną ordynacją dla przychodnich chorych, trzeba było w każdej chwili być na zawołanie; przychodziła depesza służbowa z „przestrzeni”, że chory taki a taki wzywa pomocy. Nigdy się nie wiedziało, co cięższe, a co lżejsze, co nagłe, a co nie, więc na każde wezwanie – o każdej godzinie dnia i nocy – jazda! I co za jazda! Jechało się tym, co było pod ręką: pociągami osobowym, towarowym, bydlęcym, lokomotywą. Ileż przeszkód, mitręgi. Pytam np. telefonicznie stacji, jakie jest najbliższe połączenie. Odpowiadają mi: za dziesięć minut odchodzi ciężarowy. Pędzę na dworzec, ciężarowy już w ruchu; nie chcąc stracić okazji, wskakuję w biegu, z małym ryzykiem skręcenia karku, i kontent z siebie sadowię się na bremzie. To znów pokazuje się, że pociąg nie może odejść, bo Płaszów „nie puszcza”.

Czekam, chodząc po peronie, pół godziny, czasem więcej, wpatrzony w sygnał, który ma oznajmić *frei*. Nareszcie ruszamy. Pod Płaszowem – *halt!* Płaszów to węzłowa stacja z ogromnym ruchem: nie zdarzy się prawie ciężarówce przebyć jej bez zatrzymania. Siedzę na mojej bremzie, marznę, wysiadam, chodzę, znów wsiadam... gdyby to wiedzieć, ile się będzie czekało, to bym się odpowiednio nastawił psychicznie, ale tego nikt nie wie: może minutę, może trzy kwadransy, nie wiadomo. Wreszcie *frei*: jazda dalej, przybywam do Podłęża, nie ma na stacji koni; nie przysłali, nie mają obowiązku; trzeba iść po straszliwym błocie, dwadzieścia minut, pół godziny. Przychodzę i dowiaduję się, że wezwano mnie, bo matka wczoraj się zlekła, że „dziecko jakoś dziwnie patrzy”.

– Pokażcie dziecko, zobaczę.

– Kiedy go nie ma, poszło gęsi paść.

Jest jakaś nemezis: lud, tak długo pozbawiony pomocy lekarskiej, mając ją na zawołanie, nadużywa jej w straszliwy sposób. Zdarzyło

się memu koledze, że jechał w nocy z narzędziami do porodu, a pokazało się, że baba nawet w ciąży nie była. Histeria jest u ludu o wiele częstsza niż w salonach, nie jest to bynajmniej choroba „literacka”.

Wracam tedy, zapisawszy coś lub nie, przybywam na stację, czekam; najbliższy pociąg za godzinę, jak się zdarzy. Kiedy minęła godzina, przychodzi depesza, że spóźniony o trzy kwadransy. Potem znów Płaszów nie puszcza, potem znów Kraków nie puszcza, ale już nie czekam, tylko zbiegam po plancie na dół i drałuję pieszo. Nareszcie, straciwszy pięć czy sześć godzin, dobijam do domu, gdzie zastaję depeszę, wzywającą mnie pilno do... Podłęża! Byłem tam właśnie, widział mnie naczelnik stacji, który nadawał tę depeszę, i nie powiedział mi ani słowa o tym drugim wezwaniu! Zapewne miał inne rzeczy na głowie... Może myślał o pociągu, który trzeba przepuścić, może w myśl francuskiej piosenki (*Il est cocu, le chef de gare...* *) myślał o tym, że podczas gdy on ma dyżur i nie może się ruszyć ani na krok, zastępca jego jest wolny, a żona młoda i ognista... czy ja wiem, o czym on myślał. Może zrobił mi to umyślnie, bo urzędnicy ruchu nie lubili lekarzy kolejowych, uważając ich za darmożjadów i zazdroścąc im (jest czego, mój Boże!) tytułu doktorów. Dość, że dostawszy taką drugą depeszę i zmuszony odbywać znów tę moją Golgotę, myślałem nieraz, że się rozbeczę z desperacji.

Co to była za służba, wyrażę tym jednym. Kiedy wybuchła wojna i wcielono mnie do wojska, świat się trząsał w posadach, a ja myślałem z uczuciem ulgi: nie będę jeździł na „sztrekę”!

I doprawdy, nie wiem, jak bym przetrzymał to wszystko, gdyby nie – wierszyki, które mnie nawiedzały w owej epoce. One mnie ratowały od rozpaczki. Doszedłem do takiej wprawy, że ledwo usadowiłem się w wagonie lub części na b r e m z i e (hamulcu), zaraz zapadałem w rodzaj katalepsji; oblegały mnie słowa, słówka, rymy, melodie, i tak spędzałem tych parę godzin, przerwanych na chwilę na wpół przytomnym opukaniem chorego i zapisaniem recepty. Prawie wszystkie moje wierszyki powstały w ciągu tych lat

na brezbie albo na lokomotywie. W tej chwili znajduję w kantorku jakiś kalendarzyk reklamowy glicerofosfatów Robin, gdzie trzęsącym się ołówkiem – widać, że pisane w ruchu – znajduję zanotowane bruliony i warianty różnych lekkomyślności. A ile nieutrwalonych, niedokończonych, uleciało z dymem lokomotywy!

I stanęła mi w myśli jak żywa historia *Ludmiły*. Przechowała mi się w zakamarkach pamięci, ponieważ przez nią zdarzyło mi się, jedyny raz, minąć stację, jadąc do chorego. Wezwano mnie do Podłęża. Przypadkowo trafiłem na osobowy pociąg: gratka! Było to w zimie, pociąg przegrzany czekał bez końca na odjazd, siedziałem sobie w cieple z zamkniętymi oczami i anim wiedział, ile czasu upłynęło, nimeśmy wreszcie ruszyli. Dumalem o Ludmile. Nie wiedziałem, kiedyśmy minęli Płaszów, tak byłem zajęty jej losami. Skąd mi się wzięła, czemu ta, czemu taka, licho ją wie. Każda twórczość ma swoje „czterdzieści i cztery”. Nie wiedziałem, jak się to skończy, co się z nią stało. I zadumałem się tak głęboko, że kiedy machinalnie spojrziałem w okno, ujrzałem nieznany pejzaż. Wzdrygnąłem się. Moją „przestrzeń” znałem jak pacierz; po drzewach mogłem pojąć, na którym znajduję się kilometrze. Oszołomiony, spuszczałem szybę, wyglądam, naraz pociąg zwalnia, stacja Klaj! Przejechałem moją stację, gdzie mnie oczekiwano u chorego. Wsiadam, wściekły wpadam do kancelarii, rzucam się do stołu, wydaję z kieszeni formularz recepty i notuję historię Ludmiły, której koniec uświadomił mi się w nagłym olśnieniu. Nieznany mi i nieznający mnie wzajem naczelnik stacji patrzy na mnie jak na wariata; przeproszam go za moje wtargnięcie do sanktuarium ruchu i pytam o najbliższą okazję do Podłęża. Wróciłem do domu z kilkogodzinnym opóźnieniem i z tą *Ludmiłą* w kieszeni. Jest to rzadki egzemplarz, bo w ogóle nie chowałem wówczas moich autografów, nie wiedziałem, że dojdą takiej ceny. Boy-historyk literatury znalazł go w biurku Boya-autora i ogłasza. Czy to jest początek losu owego naczelnika-kasjera z *Fermentów*? Któż wie!

Jeszcze dokumenty

Ogłaszając pierwszą partię znalezionych dokumentów, zaznaczyłem pewne refleksje, jakie mi nasunęło to „rozdwojenie osobowości” na autora i badacza literatury, na człowieka i obserwatora; to czyhanie na przejawy życia, którego jestem podmiotem i przedmiotem. Wszystko to, przez analogię do owego Reymontowskiego zawiadowcy stacji i kasjera w jednej osobie, wydało mi się dość niepokojące. Cóż dopiero, kiedy w ostatnich czasach wierna Informacja Prasowa zaczęła mi przynosić pewne „głosy prasy”. Przeląknęłem się, kiedy się ujrzał w tym zwierciadle: przedwczesny uwiad starczy, sanatorium dla zboczeńców, szpital jako najwłaściwsze dla mnie miejsce, ekshibicjonizm, symulacja, zgniła gorączka, rajfurstwo, „polski Goriot” (nie wiem czemu, pocziwy ojciec Goriot z Balzaka stał się nagle dla naszych świątobliwych analfabetów najcięższą obelgą, coś tak jak u chłopów „omentra” albo „sufragan”?). Przewertowano moje pisma; znaleziono w nich zwierzenie, że cierpię na bradykardię (zwolnienie tętna) i że w chwilach takiego „odpływu życia” czuję się zdolny do wszelkiej perwersji, nawet zbrodni, byle je trochę popędzić. Straszna ta wiadomość, powtórzona tłustym drukiem, obiegała część prasy, jako oczywisty dowód moich zbrodniczych instynktów.

Wszystko to będzie kiedyś cennym przyczynkiem do dzieła *Historia głupoty w Polsce*, o ile znajdzie się taki benedyktyn, taki tytan pracy, aby je napisać. Ale jako mędrzec mam ten zwyczaj, że cokolwiek mi ktoś powie, choćby to był najgorszy człowiek i rzecz najobelżywsza, zastanawiam się, ile w tym może być praw-